

Goran Vojnović

Laureat Literackiej Nagrody
Europy Środkowej
ANGELUS 2020

figa

Przekład
Joanna Pomorska



SEDNO
Wydawnictwo
Akademickie

figa

Goran Vojnović
figa

przekład
Joanna Pomorska

Tytuł oryginału: *Figa*

Wydanie polskie na podstawie: Beletrina Academic Press, Ljubljana 2016

Wydawca

Bożena Kućmierowska

Redakcja merytoryczna i korekty

Magdalena Petryńska

Redakcja techniczna

Danuta Przymanowska-Boniuk

Projekt okładki, stron tytułowych i opracowanie typograficzne

Janusz Fajto

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



Prevod je izšel s podporo Javne agencije za knjigo Republike Slovenije

Wydanie książki wsparte finansowo przez Javne agencije za knjigo Republiki Slovenii

Copyright © Beletrina Academic Press, Ljubljana 2016; www.beletrina.com

Copyright for the Polish translation by Joanna Pomorska

Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Akademickie SEDNO Spółka z o.o.

Warszawa 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone

Kopировanie, przedrukowywanie i rozpowszechnianie w całości lub we fragmentach jakiegokolwiek techniką bez pisemnej zgody wydawcy zabronione

ISBN 978-83-7963-074-5

ISBN 978-83-7963-075-2 (pdf)

ISBN 978-83-7963-114-8 (MOBI/ePUB)

Wydawnictwo Akademickie SEDNO Spółka z o.o.

00-696 Warszawa

ul. Jana Pankiewicza 3

www.wydawnictwosedno.pl

info@wydawnictwosedno.pl

im dwojgu

I

Komisarz Risto Marjanović w roku 1955 czekał w Bujach na przyszłego nadleśniczego Aleksandra Đorđevića tak, jak się to robi w jego stronach. Nakrył biurko obrusem i rozłożył na nim specjały, które jego żona Jovana przywiozła z Užica. Słynny kajmak, duvan čvarci, pečenica¹, słonina, mocna morelowa rakija czekały więc na Aleksandra, który co prawda przybywał z braterskiej republiki Słowenii, ale sądząc z nazwiska, był rodakiem, z którym można będzie porozmawiać w ojczystym języku. Risto nie tak dawno objął stanowisko komisarza politycznego w północnej Istrii, lecz zdążył już zatęsknić do rodzinnych stron i odkryć, że w ukochanej Jugosławii żyją również obcy ludzie, którzy mówią niby zrozumiałym językiem, a mimo to on ich nie rozumie. Dziwni byli ci ludzie w Bujach. Najchętniej ich unikał i zamiast wiercić im dziurę w brzuchu – właściwych zapisywać do partii, a niewłaściwych wykluczać z życia społecznego – wołał pozwolić, żeby chodzili własnymi drogami. Dbał przede wszystkim o to, by jak najmniej mieli do czynienia z nim, a on z nimi. Kiedy zawiadomiono go, że z Lublany przybędzie młody człowiek, niejaki Aleksandar Đorđević, tak się

1 Znane serbskie przysmaki: rodzaj kremowego sera, skwarki, wędzona polędwica. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

ucieszył, jakby zapowiedziano wizytę Josipa Broza Tity. Coś mu mówiło, że Aleksandar od razu zrozumie, na czym polega problem z mieszkańcami Buj, i Risto będzie mógł zwierzyć mu się z tego, czego nie wolno było mówić w świecie braterstwa i jedności, Aleksandar, tak jak i on, od razu zauważy, że z tymi ludźmi nie można ani po bratersku rozmawiać, ani po bratersku się napić, ani po bratersku brać się za łby, od razu zobaczy, że socjalizm nie ma z nich żadnego pożytku, i zrozumie, że lepiej zostawić ich w spokoju i nie wybijać im Boga z tych dziwnych głów. Przed Aleksandrem, taką miał Risto nadzieję, nie będzie musiał udawać człowieka, który dniami i nocami walczy o postęp w ojczyźnie, i swobodnie wyzna, że woli schować się w swoim biurze, zamknąć na klucz i udawać nieobecnego, kiedy ktoś puka do drzwi, pić swoją morelową rakiję, wspominać strony rodzinne i myśleć o tym, że gdyby to od niego zależało, co rychlej wróciłby do lasu, do partyzantki, że nic nie pozostało z jego wojennej odwagi, a teraz, kiedy jest pokój, czuje się jak ofiara, czeka, aż zrobi się ciemno, przemyka ulicami miasta, nad którym sprawuje kontrolę, przekrada się chyłkiem jak konspirator w czasie wojny, a tych tutejszych ludzi, tych Istrijczyków, boi się bardziej niż dawniej Niemców. Wszystko to Risto chciał powiedzieć Aleksandrowi, choć wiedział, że kiedy już usiądą naprzeciw siebie, z trudem znajdzie odpowiednie słowa, bo Aleksandra w ogóle nie zna, Aleksandar jest młodszy od niego, przybywa z Lublany i może jest tak samo dziwny, jak dziwni są ludzie w Bujach. Kiedy za dużo wypił, zastanawiał się nawet, czy można jeszcze znaleźć normalnych, podobnych do niego ludzi, bo teraz, co gorsza, także w Użicu wszyscy są inni, tak jak tu pozwalają ci mówić i nigdy nie przerywają, tylko patrzą na ciebie szeroko otwartymi oczami, a ty nie potrafisz zgadnąć, o co im tak naprawdę chodzi. Może już nigdzie nie ma nikogo, myślał Risto, kto mógłby mu przytaknąć, boi się szeroko otwartych oczu, w których pogrąża się jak w bagnie, może już nie ma nikogo, komu on, komisarz polityczny, członek partii komunistycznej, mógłby wyznać, że boi się ludzi, którzy

tylko stoją przed nim i go słuchają. Dlatego Aleksandar Đorđević był jego ostatnią nadzieją, on to na pewno zrozumie, będzie wiedział, o czym mówi Risto, bo to przecież nasz człowiek, a nasi ludzie myślą tak samo i w ten sam sposób patrzą na wszystko.

Risto oczywiście nie mógł wiedzieć, jaki człowiek kryje się za swojsko brzmiącym nazwiskiem, kiedy w swoim biurze, niecierpliwie czekając na Aleksandra, kieliszek za kieliszkiem wlewał w siebie mocną morelową rakiję i zagryzał ją plasterkami wędliny. Nie mógł wiedzieć, że Aleksandar Đorđević nawet w niewielkim stopniu nie jest typowym przedstawicielem swojego rodu, ponieważ rodu, na jaki wskazywało jego nazwisko, w ogóle nie było. Aleksandar, urodzony w Nowym Sadzie w roku 1925, początkowo nosił nazwisko swojej mamy, pielęgniarzki i właścicielki księgarni Ester Aljehin, natomiast imię, jak twierdziła mama, dostał po ojcu. A o swoim ojcu – poza tym, że podobno pochodził z Ukrainy, miał na imię Aleksandar i tak jak on gęste, krzaczaste brwi – mój dziadek nigdy nie dowiedział się niczego więcej, zresztą aż do śmierci wątpił w całą tę historię. Dla Ester, która po swoim ojcu Mošem odziedziczyła niewielką nowosadzką księgarnię, wojna zaczęła się dużo wcześniej niż w dniu, kiedy do Nowego Sadu wkroczyli pierwsi naziści. Ona też rozpoczęła swoją walkę o wolność dużo wcześniej niż bojownicy o wolność, których zapamięta historia. Wystarczyła jej kapryśna deszczowa wiosna roku 1937, by uwieść dentystę Milorada Đorđevicia i przekonać go do małżeństwa, po czym bez słowa wyjaśnienia, już jako pani Đorđević, z synem Aleksandrem Đorđeviciem opuściła nowego męża i rodzinne miasto i przeprowadziła się do Belgradu. Branislava, bo takie imię nosiła po przybyciu do stolicy, zdobywszy odpowiednie wykształcenie, pracowała jako pielęgniarzka i wszystkim przedstawiała się jako wdowa po Miloradzie. Chodziła nawet do cerkwi i paliła za niego świece, a mały Aleksandar musiał nauczyć się modlitw za spokój duszy swojego rzekomo świętej pamięci rzekomego ojca i przyciągać pełne litości spojrzenia belgradzkich pań po to,

by widok pani Đorđević z synem przed cerkiewnym ołtarzem jak najgłębiej zapadł im w pamięć. Wszystko w życiu Ester Aljehin i Branislavy Đorđević było przemyślane, podporządkowane jednemu celowi – przetrwać bez upokorzeń i prześladowań. Moja prababcia wobec nikogo nie czuła obowiązku przedstawiania się prawdziwym nazwiskiem, wobec nikogo nie czuła potrzeby szczerości, nikt nie zasłużył sobie, żeby ją poznać taką, jaka była bez maski. Gardziła tym światem, który nawet nie próbował ukryć przyziemnej nienawiści do wszystkiego, co inne, i ze szczególną rozkoszą kłamała mu prosto w twarz, udawała, że jest dokładnie taka, jaką chciałby widzieć. Grała rolę osoby należącej do tego nikczemnego świata, z oddaniem wczuwała się w jego lęki i uprzedzenia, prymitywizm i ignorancję. Jak kameleon upodabniała się do otoczenia, którym pogardzała, życzliwie uśmiechała się do ludzi, okazywała im szacunek, z każdym dniem coraz bardziej doskonaliła swoje zakłamanie, aż w końcu zatraciła się w nim i Ester Aljehin, kobieta przebiegła, wyrachowana, wyniosła wobec świata, która w domu po cichu czytała małemu Aleksandrowi Josepha Rotha w oryginale, zniknęła pod fałszywym obliczem małodusznej Branislavy Đorđević, która wyjaśniała z oburzeniem wielbicielom, że raz zamężna kobieta na zawsze pozostaje mężatką, więc powinni się wstydzić swoich grzesznych myśli. Ale nawet Branislava Đorđević nie mogła zdusić w sobie strachu Ester Aljehin, kiedy w mieście zobaczyła pierwsze nazistowskie mundury i usłyszała o niewyjaśnionym zaginięciu doktora Štiglica, kiedy dotarły do niej powtarzane szeptem opowieści o tym, że coś się dzieje nocami na terenie belgradzkich targów². Strach wypędził Branislavę Đorđević z Belgradu, gdzie nikt jej nie zagrażał i nikt nie znał jej tajemnicy, ale strach Ester Aljehin był wielki, a pragnienie przetrwania jeszcze większe, więc Branislava i Aleksandar Đorđević w lutym 1942 roku znaleźli się w Lublanie, która

2 W czasie II wojny światowej okupujący Jugosławię Niemcy utworzyli tam obóz koncentracyjny, początkowo przeznaczony dla serbskich Żydów, później także dla Romów i więźniów politycznych.

wtedy pozostawała pod okupacją Włochów, a z jakiegoś powodu Ester bała się ich mniej niż Niemców. Słoweńcy też wydawali się jej mniej straszni od Serbów, przede wszystkim dlatego, że Lublana leżała dalej od Nowego Sadu niż Belgrad i wśród Słoweńców z pewnością mniej było ludzi, którzy mogliby znać jej tajemnicę. Lecz strach wcale nie zniknął wraz z przybyciem do Lublany, co więcej, stał się silniejszy, bo Słoweńcy przyglądali się jej z podejrzliwością podobną do tej, z jaką miejscowi w Bujach trzynastcie lat później patrzyli na Rista Marjanovicia. Była to podejrzliwość wobec obcych, ale Branislava nie potrafiła ocenić, co właściwie mieszkańcy Lublany w niej widzą i o co ją oskarżają ich spojrzenia. Dlatego Ester Aljehin jeszcze głębiej zaszyła się w Lublanie. W szpitalu wykonywała swoją pracę w milczeniu, a później zamykała się w skromnym mieszkaniu. Nie spacerowała po mieście, nie bywała w cerkwi, nie chodziła na targ, w ogóle nie pokazywała się między ludźmi, nie próbowała wejść w nową rolę, nie chciała być częścią tłumu, bo ten tłum był tak bardzo obcy, że przekraczało to jej zdolności aktorskie. Wieczorami Aleksandar uczył mamę słoweńskiego, bo w tym języku rozmawiał z kolegami, ona jednak po słoweńsku nie odezwała się do nikogo. Uczyl ją też włoskiego, który obowiązywał w szkole, a ona jego niemieckiego, który znała od ojca. Był to język wroga, ale także – jak wyjaśniała synowi – język Josepha Rotha. Nic nie jest jednoznaczne na tym świecie, mówiła ta kobieta patrząca na oszalały świat innymi oczami. Wojna jej zdaniem nie podzieliła świata na dobrych i złych ani na naszych i tamtych, wojna ostatecznie podzieliła świat na nią i jego, Aleksandra, po jednej i wszystkich pozostałych po drugiej stronie, więc każdego dnia Ester Aljehin walczyła w tej swojej wojnie, zawsze przyczajona, wieczna zakładniczka strachu, który pierwszy raz zakiełkował w niej w dawnym 1936 roku w Nowym Sadzie, kiedy jakiś mężczyzna wszedł do jej księgarni i powiedział, że już niedługo skończą się czasy, gdy jedni przeglądają książki, a drudzy harują na polu, że wkrótce nastanie nowy porządek. Ten strach ciągle rósł

w Ester Aljehin, w Lublanie nie pozwalała Aleksandrowi zapalać wieczorami lampy, zaczęła mówić szeptem, coraz szybciej pokonywała drogę ze szpitala do domu, a kiedy zimą noc nadchodziła zaraz po południu, biegła przez lublańskie ulice do swojego mieszkania, zamykała drzwi na klucz i opierała się o nie plecami, jakby po drugiej stronie byli jej prześladowcy. Pod koniec 1944 roku, gdy Lublanę okupowali już Niemcy, pewnego wieczoru Aleksandar znalazł Ester leżącą niemal na progu mieszkania. Jej serce pokonał strach, upadła na ziemię przed zamkniętymi drzwiami, w samym środku Lublany, która się nią nie interesowała, która nie знаła jej tajemnicy, nie rozumiała i nawet nie mogłaby zrozumieć, czego tak bardzo bała się Branislava Đorđević, była właścicielka księgarni, wdowa po Miloradzie Đorđeviću, pielęgniarka wzorowo wypełniająca swoje obowiązki w lublańskim szpitalu. Ale niewyjaśnione śmierci w tamtych czasach zdarzały się często i nie budziły niepokoju, nikogo nie zaskoczył zawał serca u młodej kobiety, nikomu nie wydało się to czymś nadzwyczajnym w tych niezwykłych czasach. Przyszli, złożyli Aleksandrowi wyrazy współczucia i poszli dalej swoją drogą, a jego zostawili samego w mieszkaniu, w którym bał się zapalić lampę i mówić inaczej niż tylko szeptem, żeby nie przestraszyć swojej zmarłej mamy.

W samotnym komisarzu Riście Marjanoviciu, który w roku 1955 w Bujach czekał na niego z resztkami kajmaku, skwarów, wędzonej polędwicy i niemal pustą butelką rakii, Aleksandar Đorđević rozpoznał pozostałości tego świata, który przestraszył Ester Aljehin, świata, który powinien być jego światem, ale nie był nim ani trochę, świata, którym w równym stopniu pogardzał, co się go bał. Aleksandar Đorđević, obcy o swojsko brzmiącym nazwisku, w którym Risto Marjanović widział przyszłego przyjaciela, bezwzględnie potrzebną mu bratnią duszę, nie mógł być dla tego nieszczęsnego człowieka bardziej nieodpowiednią osobą jako kandydat na kogoś bliskiego. Risto stwierdził to chyba już w chwili, gdy

Aleksandar przekroczył próg jego biura. Coś było w jego postawie, powadze i milczeniu, w cierpliwym oczekiwaniu, aż Risto odezwie się pierwszy, w „per wy”, sposobie, w jaki zwracał się do niego, we wszystkim. Jeszcze jeden, pomyślał rozczarowany Risto, jeszcze jeden z tych obcych, niemożliwych do zrozumienia ludzi, jeszcze jeden, przed którym będę się krył i którego będę unikał. Zmierzył spojrzeniem stojącego w drzwiach i czekającego na instrukcje Aleksandra, pociągnął ostatni łyk morelowej rakii, wstał i ruszył ku drzwiom.

Chodźmy. Im szybciej znajdziemy ci jakiś nocleg, tym lepiej dla nas obu.

Risto zaprowadził Aleksandra do domu na rogu głównego placu. Otworzył drzwi i wszedł do środka.

Kluczy nie mam, ale i tak nie są ci potrzebne. Nikt się tu nie zakradnie, raczej będą przed tobą uciekać.

Pokazał mu kuchnię, łazienkę i sypialnię. Otworzył szafę pełną ubrań.

Jeśli będziesz potrzebował miejsca, możesz to przesunąć albo wyrzucić.

Risto zdjął kilka ubrań z wieszaków i położył je na dnie szafy.

Czyje to jest? spytał Aleksandar.

To? Nie wiem. Jakichś Włochów.

A gdzie oni są?

Kto? Włosi?

Tak.

Skąd mam wiedzieć! Wyjechali.

Bez swoich rzeczy?

Risto tracił już cierpliwość do Aleksandra i jego pytań.

Jeśli chcesz, jutro rano podeślę ci kogoś, żeby opróżnił te szafy.

Nie mogę mieszkać w tym domu.

Dlaczego?

Przecież sami widzicie, tu mieszkają ludzie.

Czego ty właściwie chcesz? Żebym zbudował ci hotel? Wszystkie domy są takie. Oni wyjechali, my przyjechaliśmy. Tak to jest w życiu.

A jeśli wrócą?

Zrobisz im kawę i zaproponujesz coś do zjedzenia.

Kiedy wyszedł, Aleksandar wrócił do sypialni i pozbierał z podłogi ubrania rozrzucone przez Rista. Powiesił je na wieszakach, zamknął szafę i zszedł do kuchni. Ostrożnie okrążył stół, starając się niczego nie dotknąć. W szklance stojącej koło zlewu pod cienką warstwą kurzu zobaczył wyschnięte fusy po kawie, a na dnie garnka pozostawionego na płycie kuchenki poczerniałe resztki jedzenia, w piecu leżała zwęglona szczapa i niewielkie kawałki gazetowego papieru z cienką obwódką sadzy. Na ścianie na wysokości oczu jaśniała prostokątna plama, ślad po obrazie albo fotografii. Aleksandar pomyślał, że pewnie ktoś zabrał to, co tu wisiało, może Risto, a może ktoś inny, kto odważył się wejść do opuszczonego domu. Był już zmęczony, wrócił do sypialni, ale przystanął przed łóżkiem. Nie mógł spać w cudzej pościeli, położył się więc na podłodze między łóżkiem a szafą, wsunął pod głowę kurtkę i zasnął w jednej chwili. Szczęśliwie jego młode ciało nie zdążyło się przyzwyczaić do wygody, jaką dawało miękkie lublańskie pośłanie.

Rano Aleksandar jeszcze raz powtórzył Ristowi, że nie może zostać w tym domu. Komisarz, który z powodu koszmarnego bólu głowy siedział ze zmrużonymi oczami w ciemnościach, za przymkniętymi okiennicami, wyjaśnił Aleksandrowi, że wszystkie domy w mieście wyglądają podobnie, a jeśli chce mieć nowy, musi wybudować go sobie sam. Skacowany Risto oczywiście nie myślał poważnie, chciał tylko jak najszybciej pozbyć się natręta, ale na nieszczęście dla niego nadleśniczemu, temu dziwnemu młodemu człowiekowi, zbudowanie nowego domu wydawało się łatwiejsze niż zamieszkanie w cudzym.

Kiedy Risto stwierdził, że Aleksandar go nie zrozumiał, otworzył oczy i odezwał się innym tonem:

Słuchaj no, Đorđević, jeśli wszyscy mogli wprowadzić się do takich domów, możesz i ty. Rozumiesz? Nie udawaj mi tu świętoszka i nie rób sobie jaj, tylko wynoś się do swojego domu.

To nie jest mój dom, towarzyszu Marjanović.

Nie twój?

Nie.

Teraz wszystko jest nasze, prawda?

Prawda.

Więc jeśli mówię, że dom jest twój, to znaczy, że jest.

Nasze to nie to samo co moje.

Co powiedziałaś?

Nasze to nie to samo co moje.

Robisz mnie w konia?

Nie.

Chodź.

Risto wyprowadził Aleksandra na ulicę i pokazał ręką na północ.

Widzisz te pagórki? Do tamtego miejsca sięga moja władza. Do granicy. Tam możesz sobie zbudować swój dom. Żebyś przez okno mógł widzieć Słowenię.

Tak oto skacowany Risto położył fundamenty pod dom Aleksandra we wsi Momjan, tuż przy granicy słoweńskiej, pięć kilometrów od miasta, myśląc, że w ten sposób należycie karze młodego leśnika za jego zuchwałość.

Tydzień później Aleksandar i jego ciężarna żona Jana szli długich pięć kilometrów z Buj do Momjanu. Aleksandar co kilka metrów odwracał się ku żonie, czekając na jej pełne pojęcie spojrzenie, czekając, aż zmęczona Jana zatrzyma się i spyta, czy nie zapomniał, że jest w ciąży, i jak daleko jest jeszcze do ich parceli. Ale Jana szła za nim bez słowa.

Aleksandar wiedział, że milczenie żony nie jest dobrym znakiem, a na końcu drogi nie czeka go entuzjizm, lecz nie pozostało mu nic innego, jak w milczeniu iść dalej i niewłaściwym słowem nie pogorszyć sytuacji. Nigdy, ani wcześniej, ani później, droga z Buj do Momjanu nie wydawała mu się dłuższa niż tamtego poranka, nigdy nie było więcej przebytej drogi za nimi i nieprzebytej przed nimi, nigdy droga nie pięła się bardziej stromo i nigdy bardziej nie wila się między pagórkami Istrii.